

# Historia mojej homofobii

Katarzyna Paprzycka

Miałam szczęśliwy start życiowy. Dane mi było doświadczenie Polski z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Byłam świadkiem przemian, które wtedy zachodziły – tym bardziej, że mój ojciec był ich aktywnym uczestnikiem. Od jesieni 1980 r prawie go nie było w domu, jeździł z wykładami po całej Polsce – od zebrań do strajków. 13 grudnia 1981 r został internowany, a wypuszczony po 350 dniach. Usunięty ze stanowiska profesora mógł wrócić do macierzystej uczelni dopiero w 1989 r.

Będąc świadkiem tych zmagania ojca z systemem zawsze czułam się bardzo wdzięczna i uprzywilejowana, że mogłam tych zdarzeń doświadczyć – uwrażliwiły mnie one m.in. na krzywdę, której ludzie doznają od innych, ale również pokazały, ile pozytywnej mocy tkwi w innych ludziach (tego pozytywnego ducha tkwiącego w ludziach nie widziałam aż do kwietnia tego roku, ujawnił się ponownie – choć tylko na chwilę – po śmierci Papieża). Wyjeżdżałam na Zachód (do Niemiec zachodnich, do Anglii) w głębokim przekonaniu, że świat może się od Polaków wiele nauczyć i innym to przekazywałam. Aż trafiłam...

## Gdzie są granice

...do Middleofsomewhere w Kalifornii – miasteczka uniwersyteckiego, gdzie studiowałam. To był dla mnie szok. Do tej pory uważałam, że jestem osobą postępową – otwartą na dążenia uciemnionych mniejszości. Ale Middleofsomewhere przerosło wszelkie moje oczekiwania. Słyszałam o Chińczykach, którzy przeżywają tzw. szok kulturowy, znalazłszy się w kulturze, gdzie np. nikt nie czuje się specjalnie zgorzony tym, że otaczają go zewsząd wielkie nagie piersi modelek z billboardów. Nie spodziewałam się, że mnie może spotkać coś podobnego. A jednak.

W Middleofsomewhere, CA funkcjonuje – nie uwierzą Państwo – Towarzystwo Oswobodzenia – przepraszam – Trawopodcieraczy (Society for the Liberation of Grass Wipers – SoLiGraW). Proszę mi wybaczyć, ale tak jest – to są ludzie, którzy wolą się podcierać trawą niż papierem toaletowym, czy też – niż korzystać z bidetu.

Zaznaczam, że zupełnie mi nie przeszkadza rzeczona czynność. Jednak obrzydliwe wydaje mi się dzielenie społeczeństwa na trawopodcieraczy i papieropodcieraczy (zostawmy wodopodcieraczy), jak również obnoszenie się z przynależnością do którejś z tych grup. Szczerze mówiąc nie chcę nawet myśleć o tym, że należę do którejś z nich.

Wiem co prawda, że *nihil humanum a me alienum esse puto*, ale gdzieś są granice. Spotykam człowieka kulturalnego, dyskutuję na ważne tematy i nie chcę żeby to, co ten człowiek wyczynia w toalecie ingerowało jakkolwiek w tej rozmowie. Nie chcę, aby to, co wyczyniam w toalecie jakkolwiek rzutowało na moją prezencję w przestrzeni publicznej. Obrzydliwość!

Byłam zdegustowana, obrzydzona samą myślą o grupie identyfikującej się jako trawopodcieracze w Middleofsomewhere, CA. Co więcej, wszystkie moje wartości – solidarność z uciemnionymi tego świata – wydawały się wystawione na pośmiewisko. To przecież karykatura dążeń wolnościowych! W RPA umierali katowani ludzie, których podstawowym przewinieniem był kolor ich skóry, a tu demonstruje SoLiGraW!

## Gdzie są granice?

Nadal jestem przeciwna dzieleniu społeczeństwa na trawopodcieraczy i papieropodcieraczy. Nawet pięć lat spędzonych w Middleofsomewhere, CA, nie sprawia bym uważała go za

ważny podział społeczny. Chwila refleksji wystarczy by się okazało, że jednak nawet ta kwestia prowadzi do pewnych problemów społecznych. Bo niby dlaczego ma być tak, że w toaletach publicznych jest papier, a nie ma trawy? Czy nie powinno być jednego i drugiego – do wyboru?

Może jednak lepiej byłoby – również dla papieropodcieraczy – żeby kwestia wyszła na jaw, bo wyobraźmy sobie, że jesteśmy zaproszeni do dyrektora Oneoranother na *party*, wchodzimy do toalety za potrzebą – a tam tylko trawa! I co wtedy zrobimy? Czy nie lepiej zrobić to, co trawopodcieracze robią cały czas, tj. nosić w torebce (mężczyźni – w kieszeni) jednorazową porcję ulubionego podcieracza? Ale żeby być przygotowani, musimy *wiedzieć* o różnych opcjach.

Już po moim wyjeździe z Middleofsomewhere, CA słyszałam, że powstała Liga na Rzecz Papieropodcieraczy, która domaga się, aby w każdym domu – również w domach trawopodcieraczy – w ubikacji (przynajmniej gościnnej) był papier toaletowy.

LRP to też przesada. Czy nie lepiej byłoby skończyć z tematem? Każdy z nas się podciera (niestety, czy stety – te słowa tu nie stosują się nijak) – a w jaki sposób to już jego prywatna sprawa. Cała sprawa jest dość marginalna dopóty, dopóki: (a) żaden trawopodcieracz nie jest dyskryminowany, (b) kwestię można uznać za kwestię prywatną.

Zastanówmy się więc. Czy trawopodcieracze są dyskryminowani? W pewnym sensie oczywiście tak. W ubikacjach publicznych dostępny jest papier toaletowy. Dlaczego? Dlatego że w naszym społeczeństwie panuje pewien zwyczaj. (I tak dobrze, bo w czasach socjalistycznych papieru nie było, a pani w toalecie wydawała drugi listek za sowitą łapówką.)

Gdyby jednak było tak, że ktoś wydając przyjęcie, na które przychodzi jego szef, traci po nim pracę, dlatego że szef zobaczył trawę w toalecie, to niewątpliwie mielibyśmy do czynienia z dyskryminacją. Oczywiście nie moglibyśmy być pewni, że szef wyrzucił go dlatego, że jest trawopodcieraczem. Spójrzmy jednak na sprawę oczami szefa: przecież on – tak, jak ja – nie lubi w ogóle o tej kwestii myśleć – jemu po prostu coś przestanie w tym człowieku pasować . . . W takim wypadku byłaby to dyskryminacja nawet gdyby szef znalazł sobie jakiś pretekst.

Czy kwestia trawopodcierania jest kwestią prywatną czy społeczną? Paradygmatycznie jest to sprawa prywatna. Jednak kwestia, czy jako społeczeństwo powinniśmy uwzględnić potrzeby grupy mniejszościowej już prywatna nie jest. Powinniśmy być otwarci i w tym względzie – jeżeli byłby dostatecznie duży popyt na trawę, czy inne podcieracze, to nie uważałabym za obraźliwe, gdyby w toalecie pojawiły się paczuski z trawą. Niby dlaczego nie? Przecież nikogo nie obrażają dyspensery tamponów czy podpasek. Oczywiście pytaniem ważnym byłoby, kto miałby za to płacić. – Czy podatnicy, których większość jest papieropodcieraczami? Jeżeli rzeczywiście większość jest papieropodcieraczami, to nie. Albo można byłoby na corocznej deklaracji podatkowej zaznaczać, czy chcę się przeznaczyć jakiś procent podatków na trawę, czy na papier toaletowy. A wtedy – kto wie, mogłoby się okazać, że jest więcej trawopodcieraczy niż się nam wydaje.

### **Naturalna homofobia jest wyleczalna**

Mój z pewnością wyczuwalny ambiwalentny stosunek do trawopodcieraczy kwalifikuje się by go określić mianem „wyleczalnej homofobii” względem trawopodcieraczy. W jakiś sposób naturalne jest to, że jesteśmy homofobami względem trawopodcieraczy, że sama *kwestia* budzi w nas lekką odrazę, bo przywołuje myśli, które normalnie nie mają miejsca nawet w ciasnych pokojach, a co dopiero salonach, salach wykładowych czy manifestacjach.

Myślę, że to jest warte podkreślenia:

***homofobia jest w swym początkowym stadium naturalna.***

O tym czasem zapomina się w kręgach nazywanych przez homofobów „politycznie poprawnymi”. Zupełnie naturalne jest to, że wyrastamy w pewnych warunkach kulturowych, w pewnych przekonaniach dotyczących tego, co jest „normalne i naturalne”, że inne rozwiązania traktujemy jako odstępstwa, a inne rozwiązania dotyczące pewnych tabu, o których się w naszej kulturze nie mówi, traktujemy jako odrażające.

Przykład trawopodcieraczy dobrze ilustruje tę właśnie naturalną homofobię. Mam nadzieję, że Państwo razem ze mną na początku czuli pewną odrazę na samą myśl o SoLiGraW. Mam też jednak nadzieję, że gdy razem zaczęliśmy myśleć o nich, zaczęliśmy myśleć o problemach czy niedogodnościach, na które napotykają lub mogą napotykać, to ta odraza zaczęła ustępować miejsca refleksji racjonalnej, której celem jest wypracowanie najlepszego rozwiązania dla wspólnego życia.

Prawdziwymi – tj. krzywdzącymi innych – homofobami stajemy się w momencie, w którym tę naturalną niechęć zaczynamy w sobie hołubić i pielęgnować. Dorabiamy sobie ideologię do „normalności” tego, co „powszechnie przyjęte” i wypychamy innych z przestrzeni publicznej.

Z tej naturalnej odrazy *musimy się* bowiem *umieć wyleczyć* – tak, jak niektórzy muzułmanie powinni umieć się wyleczyć z seksualnych (czy jakich tam) skojarzeń związanych z obnażonymi ustami kobiet w miejscu publicznym, tak jak wszyscy wyleczyliśmy się ze zgorszenia naszych prabab i pradziadków względem noszenia bikini.

### **Seks i homoseksualiści, czyli co ma piernik do wiatraka**

Jeżeli seks między dwojgiem osób tej samej płci wzbudza w nas odrazę, to też powinniśmy się z tego wyleczyć. Jesteśmy zresztą tak przesiąknięci kulturą seksu, że zdajemy się zapominać jak strasznie obrzydliwy jest seks. Myśląc o seksie mamy przed oczyma jakąś atrakcyjną parę młodych aktorów uprawiających chyba-seks na ekranie kina w stosownej oprawie muzycznej, graficznej, w romantycznej atmosferze etc. Zapominamy – O! Obrzydliwości! – o seksie uprawianym przez – oględnie mówiąc – starszych członków najbliższej rodziny np.

Seks jest w ogóle dość obleśny (proszę pomyśleć o kopulujących na ulicy psach), dlatego samo określenie „homoseksualista” musi wydawać się odrażające, gdyż zawiera już w sobie słowo „seks”. A przecież

#### ***homoseksualista to nie jest ktoś, kto uprawia seks***

z osobą tej samej płci. Jest to tak krzywdząca charakterystyka homoseksualisty, jak krzywdzące jest rozumienie małżeństwa jako związku, polegającego na uprawianiu seksu między mężem i żoną. – Tak przecież nikt rozsądny małżeństwa nie rozumie! Gdyby tak było, to wstyd byłoby nam przyprowadzać dzieci na śluby i wesela.

Homoseksualista jest to ktoś, kto kocha osobę tej samej płci, specjalnym rodzajem miłości, a mianowicie takiej miłości, która w naszej kulturze zaczyna się od romantycznego upojenia, chęci bycia razem – być może chęci spędzenia życia razem – i prowadzącego *również* do potrzeby zbliżeń seksualnych. Dlaczego jednak uznawać ten ostatni fragment za coś tak strasznie istotnego?

Lepsza byłaby choćby taka terminologia: „homoamoryści”, „heteroamoryści” i „omniamoryści” – jeżeli już odczuwamy potrzebę odróżniania się nawzajem pod tym względem. W zasadzie nie musielibyśmy się w ten sposób kategoryzować. Może lepszy byłby podział na „maskulamorystów” – ludzi, którzy kochają się w mężczyznach, na „feminamorystów” – ludzi, którzy kochają się w kobietach oraz „omniamorystów” – ludzi, którzy kochają się w innych ludziach – bez względu na ich płeć. Czy samym podziałem nawet na homoamorystów i heteroamorystów nie zdradzamy tego, jak ważny jest fakt, czy to osoby tej samej płci, czy innej płci się kochają? Niby dlaczego to takie ważne?

Nie mam tu na myśli wcale, że kwestia nie jest ważna. Jest i nią pozostanie. Jeżeli jakaś nastolatka się zakocha w wystrzałowym chłopcu, który na wszelkie jej zaloty będzie odpowiadał wstrzemięźliwie i będzie „jedynie” gotów na relacje przyjacielskie, to z pewnością pomoże jej w rozterce świadomość tego, że jest homoamorystą. Mam jednak wrażenie, że w tej utopijnej przyszłości pomogłaby jej równie skutecznie świadomość tego, że jest on – tak jak ona – maskulamorystą, nie feminamorystą, a może nawet, że po prostu jest już w kimś zakochany, a ona nie jest w jego typie.

*Nota bene* bardzo nie podoba mi się nazwa „homoseksualizm”. Pozwalając sobie mówić o „izmie” odczłowieczamy homoseksualistów. „Homoseksualizm”, czyli właściwie co? Stanowisko, że . . . . . (tak jak racjonalizm, to stanowisko, że wiedza ma swe źródło w rozumie)? Schorzenie polegające na . . . . . (tak jak artretyzm, to schorzenie polegające na zwyrodnieniu stawów)? Ruch społeczny, którego celem jest . . . . . (tak jak abolicjonizm, to ruch społeczny, którego celem było zniesienie niewolnictwa)?

Trudno sobie wyobrazić jak właściwie należałoby wypełnić te wielokropki – nie wiadomo, w ogóle do jakiej kategorii „izmów” zaliczyć „homoseksualizm”. Bezkrytycznie używamy określenia „homoseksualizm” (które najpewniej zostałyby zakwalifikowane przez homofobów jako schorzenie) mając na myśli tzw. orientację seksualną, ale wtedy należałoby mówić o „homoseksualności” (ew. „homoamoryczności”).

### **Czy bycie homoamorystą jest kwestią prywatną?**

Niewątpliwie kwestią prywatną jest życie seksualne homoamorystów, dokładnie tak samo jak życie seksualne hetero- i omniamorystów. Gdyby homoamoryści chcieli dyskutować o kwestiach łóżkowych na łamach programów telewizyjnych, w paradach itd. uważałabym to za niestosowne – tak samo zresztą, jak uważam to za niestosowne w przypadku heteroamorystów.

Samo zaangażowanie w związek homoamoryczny nie jest jednak kwestią prywatną. Co to w ogóle miałyby znaczyć? Że mam swojego partnera życiowego zamknąć na klucz i nie pojawiać się z nim na urodzinach, weselach, przyjęciach, czy innych spotkaniach towarzyskich? Że nie mogę ze swoją partnerką wejść do banku w sprawie pożyczki? Że nie mogę ze swoim partnerem pójść na spacer? Możemy sobie spacerować w ogródku pod warunkiem, że sąsiedzi nie patrzą? Przecież to po prostu absurd!

Miłość jest integralną częścią życia większości ludzi i prowadzi do zawiązywania bliskich związków między ludźmi, do tworzenia rodzin. Jesteśmy istotami społecznymi, które mają prawo do tego, by w życiu społecznym uczestniczyć wspólnie ze swoimi bliskimi.

### **Czy homoamoryści są dyskryminowani?**

Nie ulega żadnej wątpliwości. Na ten temat można byłoby rozprawy pisać. Ograniczę do ewidentnego przykładu.

W programie „Warto rozmawiać” z 14 czerwca br wystąpił [*sic!*] doktor [*sic!*] psychiatrii, który uznaje Paradę Równości – a nawet [*sic!*] spacerującą parę objętych dziewcząt – za poważny problem ze względu na to, że nie wiedziałyby, jak „to” wyjaśnić wymaginowanej paroletniej dziewczynce . . .

Dlaczego to dowód dyskryminacji? Dlatego, że wszyscy *wiemy*, jak ten pan by się zachował wobec podwładnego, który na przyjęciu pojawiłby się ze swoim wieloletnim partnerem, a nie żoną czy dziewczyną. Jak wytłumaczyłby ten fakt swojej wnuczce, nie mówiąc już o swoim szefie? A jeżeli przyszłoby do decyzji, kogo promować w pracy, czy tego ostentacyjnego obrzydliwego homoseksualistę (który powinien zająć się swoim leczeniem, nie leczeniem innych), czy rzeczowego (czy trzeba dodawać, że „normalnego”?)

fachowca – to kogo by ten pan wybrał? (I żeby nie było niedomówień – dodajmy, że kwalifikacje zawodowe obaj kandydaci mieliby te same.)

\* \* \*

Mam wrażenie, że ta historia mojej homofobii jest jednocześnie historią wielu osób w Polsce – choć niewątpliwie historie nasze będą się różniły w szczegółach. Powtórzę najważniejsze punkty.

Zupełnie naturalne jest dla nas obrzydzenie sprawami dotyczącymi tabu – myśl o podcieraniu trawą, czy uprawianiu seksu (choć bądźmy konsekwentni, nie mówmy tylko o seksie między osobami tej samej płci!) – ma *prawo* na początku budzić obrzydzenie. Mamy też *prawo* czuć, że mówienie o tych sprawach na forum publicznym jest niestosowne.

Mamy jednak *obowiązek* zwrócić uwagę na implikacje społeczne związane z istnieniem nawet trawopodcieraczy, a co dopiero homoamorystów. Musimy być wyczuleni na krzywdę, która się dzieje grupom jakkolwiek – i z jakichkolwiek powodów – dyskryminowanym. To jest ten moment właśnie, którego w szczególności walczącym o wolność Polakom trudno jest zrozumieć. Ale to trudno zrozumieć, przede wszystkim dlatego, że trudno zrozumieć, jak z walki o szczytne ideały można się przenieść na walkę o – za przeproszeniem – harce łóżkowe. I tu pokutuje to podstawowy problem – mianowicie problem tożsamości.

Popelniamy karygodny błąd zgadzając się już na samo utożsamienie grupy ludzi, o których mowa, jako homoseksualistów. Grupa ta jest wyodrębniona przede wszystkim dzięki naszemu negatywnemu do niej stosunkowi. To my generujemy homoseksualizm, a ten nas bije w nos, bo stajemy się heteroseksualistami. Dokładnie tak jak my generowaliśmy trawopodcieraczy, a sami stawaliśmy się papieropodcieraczami. Nie powinniśmy pozwolić na utożsamienie żadnej i żadnego z nas w ten sposób.

– Wszyscy jesteśmy ludźmi i – o ile jesteśmy w stanie kochać – to jesteśmy *tacy sami*. Dlaczego aż tak ważne ma być to, jakiej płci jest osoba, którą kochamy?! Ważne, że *kochamy*. Jesteśmy zanurzeni w kulturze chrześcijańskiej, więc skorzystajmy z wagi, jaką ta kultura przywiązuje do miłości. – Cieszymy się, że w tym świecie pełnym nienawiści, złości i zawiści, bezcennej pogoni za pieniądzem i władzą, odnalazło się kolejnych dwoje ludzi, którzy wytworzyli między sobą płaszczyznę zaufania, którzy są gotowi spędzić ze sobą życie, dzieląc to, co dobre i co złe, którzy swoją miłością i szczęściem tworzą to swoiste ciepło, bez którego ludzkość bezpowrotnie by zamarzła. Powinniśmy wziąć udział w ich radości i weselu. Czyż nie dlatego właśnie lubimy ceremonie ślubu?

PS. Tekst ten dedykuję moim przyjaciołom: Bożenie, Donaldowi, oraz Jane i Maggie, do których pełnego rodzinnego ciepła, miłości i oddania domu często w myślach powracam.